

© ARCHIWUM Wschodnie

Anna Ściżba-urodziłam się w 1917 roku, nazwisko paNienske Dumbioł. Byłam gospodynią domową, mieliśmy 14 ha gospodarstwo, całe zabudowania, inwentarz. Za to wszystko, jako kułaki zostaliśmy wywiezieni. 20 czerwca 1941r wczesnym rankiem, kiedy byliśmy jeszcze w łózkach, staneli nad nami, chwacili męża, posadzili koło stołu i zaczęli pytać o broń, gdzie jest. Mówiliśmy, że nie mamy. Dali nam godzinę na spakowanie się. Ja z tego wszystkiego nie wiedziałam co zrobić, straciłam rozum. Dzieci 3 i 5 letni chłopcy zaczęły krzyczeć, ja płakać a oni robili rewizję. Powyrzucali wszystkie papiery, zabrali tylko te, które były im potrzebne. Nie mogłam się spakować, nie dawałam rady, "ręce nie podnosiły mi się" do tego. Pomyślałam sobie, żeby ktoś mi pomógł, zaczęłam krzaczec, aby sąsiedzi mnie usłyszeli i dali znać mojej i męża mamie, które mieszkały w tej samej wiosce. Przyszła moja matka i męża, mój brat, widzieli, że jestem bezwładna, więc pomogli mi się ładować. Wzięłam tylko to co mi pozwolili wziąć. Wtedy podjechały dwa wozy (nie wiem skąd się wzięły). Wynieśli mnie z dziećmi na wóz, na drugi załadowali rzeczy. Na dworzec do Drui jadąc, spotkaaliśmy też dwie rodziny. Jechaliśmy razem. W Drui był przygotowany transport-wagony z małymi okienkami. Wieczorem (7-8 godz.) załadowali nas wszystkich, po osiem rodzin do wagonu. Dziura w podłodze została zrobiona, aby można było się załatwić. Gdy było już ciemno, wszystkich załadowano, ale nie odjeżdżali. Po ok. pół godziny otworzyli i odczytywali nazwiskami członków rodziny i zaczęli nas rozdzielać. My zaczęliśmy krzyczeć i płakać, a oni powiedzieli "nie nada płakać, завтра was połączymy". Na rano nas nie połączyli, mężczyźni jechali w osobnych wagonach. Było tych wagonów ok. cztery. Dowieźli nas do więzienia. Więzienie zostało zrobione z klesztoru, który znajdował się na dużej łące.

Pociąg zatrzymał się na polu, przez te małe okienka zobaczyliśmy

pełno NAWD-dzistów. z psami i karabinami. Wiądziliśmy, że wysadzają naszych mężczyzn. ..(tekst z nagrań nie czytelny)... Nie wiem jak tam można było wytrzymać od krzyków rozpacz. Jechaliśmy aż do Krajowszczyzny. Tu nas zatrzymano i dano nam wody. Po jednej osobie z wagonu wypuszczali, aby nabrała wiadro wody. Od nas poszedł jeden i ktoś po drodze wcisnął mu gazetę którą nam przeczytał i pocieszał nas mówiąc "nie martwcie się, nie płaczcie, już Niemiec przekroczył granicę". Byliśmy pewni, że nas ocala, że wrócimy do domów. Lecz nie, dalsze trzy dni jechaliśmy bez jedzenia, wody. Zaczeliśmy krzyczeć, bić w wagony. Brakowało powietrza, nie dopływało przez te małe okienka. Stanęli koło jakiejś sadzawki i powiedzieli, że można się tu napić. Wypuszczali po jednej osobie i kto miał jakieś naczynie, bańki to nabierał wody z tej sadzawki. A w niej były i muchy, i śmieci, ale nabieraliśmy wszyscy, bo byliśmy bardzo spragnieni. Wiezli nas dalej, jedliśmy tylko to co mieliśmy ze sobą, jak ktoś nie miał, to jeden drugiemu dał. Ja miałam jakiś zapas, ale niektórzy nie mieli nic, wyjechali tak jak stali. Tak nas wiezli trzy tygodnie. Dowieźli nas do Barnauku, gdzie były przygotowane ogrodzone drutem kolczastym baraki. Po rogach stali strażnicy, wszystko było oświetlone, aby nie można było się nigdzie ruszyć. Znajdowała się tu budka, w której jak przyjechaliśmy rozdawano 200gr. chleba i codziennie czarną kawę. Później wzięli nas do robozy. Robiliśmy drogę od baraków do Barnaulu, strażnicy nas pilnowali a my pracowaliśmy. Później założyli nam pralnię i praliśmy bieliznę dla więźniów. Płacili nam za to wiadrem zupy. Tak więc pracowaliśmy przy tej drodze od początku lipca, a już na jesień (wpaździerniku) w tej pralni. Dzieliliśmy się tym wiadrem zupy między sobą, swoje dzieci. Straszne były mrozy dochodziły do -40, 50 C

w baraku mieliśmy piecy,który zresztą nic nie dawał,poza tym nie dawano nam drewna.Mrozy były takie,że jak w nocy budziliśmy się,to byliśmy pokryci szronem.Tak było.Małe dzieci nie wytrzymywały tego.Mój starszy synek jakos przetrzymał ,ale młodszy zmarł w grudniu pierwszego roku na dyfteryt.I tak co noc umierali ludzie,wynoszono ich na dwór ,gdzie stały kupy cegieł na których ich składano.Nie było nocy,aby ktoś nie umarł.Umieranó od mrozi,głodu później sprowadziły się nieczystości,wszy.W barakach ludzie zarażali się jedn od drugiego,dlatego,że wszyscy byli razem,wspólne prycze itp.I tak my przeżyliśmy zimę i w połowie lata wywieźli nas do kołchozu. W zimie pracowaliśmy na rzece . Wyrąbane drzewa zawiązywane przez nas rogami,spławiano na rzece ob. Bardzo baliśmy się tej pracy.Stało się na belce w wodzie,trzeba e było ściągać drugą belkę,związać róg.Ruscy to kręcili wiklinę ale Polaczki to na wodę.Jak mróz był duży,to robiliśmy drogę w lesie,gdyż latem nie mógł tamtędy przejechać traktor,ponieważ było bardzo tam mokro.Karczowaliśmy drzewa,robiliśmy drogę,aby mógł przejechać traktor.Przywozili tam nam zupe,taką,że były w niej 3-4-kawałki ogórka,kilka kartofelków.Tylko przynajmniej była ciepła a jak się wyrobiło normę to przywozili po 200gr. chleba.Tego było tyle tylko,aby zamożyć głód.Nasze żołądki poro-oiły się takie,że ja mając 24 lata kiedy wywozili mnie na Sybir, byłam całkowicie wycieńczona i nie mogłam chodzić.Często trzeba było chodzić i prosić o te kilka kartofli,chleb to już zosta-wialiśmy dzieciom,a sami chodziliśmy na głodnego.I tak dożyliśmy do wiosny,kiedy to mocno zachorowałam na dezynterię i fleczer w kołchozie skierował mnie do szpitala.Na zesłaniu miałam ludzi z którymi bardzo dobrze żyłam.Pyła tu Kulsza Franciszka miała je jedno dziecko i nie chciała mnie zostawić,mówiła"ja pojedę z tobą,bez ciebie zginę".NO i pojechałysmy razem.Był czerwiec,ciepło

poszliśmy do piekarni, moja koleżanka miała takie ładne rękawiczki, dała je sprzedawczani. Kobieta była uczuciowa i dała nam chleba na cały miesiąc. Zadowolone najadliśmy się, nakarmiśmy dzieci i pojechaliśmy na statek. Rzekę trzeba przepłynąć promem. Okazało się, że prom nie płynie, bo jest na remoncie. Siadaliśmy więc na brzegu i płakaliśmy. Na nasze szczęście płynęła łódka więc zaczęliśmy krzaczec, aby nas zabrała. Ktoś podpłynął i zapytał "czto wy chacie?", a my "tawariszcz wazmitie nas do Barnauku". Ale onniemógł, choć też jechał do Barnauku, mówił, że wiezie jagody, dwie kobiety. Ale dałyśmy mu bochenek chleba, zrobił nam miejsce, usadził nas, dzieci, i zawiózł do Barnauku. Gdy przyjechaliśmy, pytamy gdzie tu jest młyn, bo wiedziałyśmy, że jest tu dużo Polaków, a on na to "ot siejczas wam pokażu". Wskazał elewator, tam gdzie się suszy zboże, no i młyn. Było już ciemno, gdy przaszliśmy do młyna do swoich. Przyjęli nas, a na zajutrz poszłam do szpitala, na dwa tygodnie. Dziecko zostało z koleżanką, a Polacy karmili i pielęgowali nas przez ten czas. Wróciłam ze szpitala słaba, ale bóle mi ustąpiły. I tak zostałam i pracowałam w tym młynie 3 lata. Było nam bardzo ciężko. Prygada polska składała się z 14 dziewcząt, pracowałyśmy po 24 godziny nosząc worki. Wszystko miałyśmy obolałe, spuchnięte od tych worków. Tyle dobrze, że byłyśmy najedzone, bo jak miałyśmy ładować transport, to dawali nam i śniadanie i obiady, wypisywali od czasu do czasu mąki, kaszy a czasami to coś się skradło. Tak my przeżyli.

Gdy przyjechaliśmy tutaj byłyśmy bardzo strzeżone, nie mogłyśmy nigdzie pójść, tylko po swoim terytorium, dalej ani rusz. Później po pół roku ogłosili nam amnestię, dali paszporty, mieliśmy prawo poruszać się jak "ruscy". Mogliśmy pojechać do kołchozu, sołchozu w garad. To ułatwił nam pan Sikorski. A że Niemiec był już koło Moskwy, "ruscy" bali się i wówczas na wszystko się zgadzali.

Im Ameryka dała broń, żywność, za to oni mieli otworzyć cerkwie wypuścić więźniów. Wówczas to transporty więźniów jechały na front. Zaczęli otwierać i remontować cerkwie. Już mogliśmy pójść i pomodlić się w cerkwi nie patrząc się czy to Ruskie i inne. "e łzami w oczach szliśmy i modliliśmy się. "Łodzi wychowani w komunizmie nie czuli tego, te staruszki, które pamiętały jeszcze stare czasy, cerkwie lamentowały, jaka to była rozpacz. My byliśmy już wolni. Przeszły te lata, już nie było tak tragicznie. Mieliśmy dobrego dyrektora (bardzo dobry człowiek), poszliśmy prosić go o pracę, aby nas przyjął. On widział jakie my mizerne i rzekł "ja porozmawiam z Iwą (Polka brygadzystka) jak ona da sobie radę z wami, wy ocień płocha wyglądacie, wy zamuzone, będziecie nosić worki". Tak zostaliśmy, pikli tu na płycie placki, to my też piekłyśmy i przy tym ogrzewaliśmy się. "ajadłyśmy się zawsze. Przez miesiąc nosiliśmy worki, później gdy już nabraliśmy sił pracowałyśmy, i tak przepracowałyśmy 3 lata. Zakład miał swoje krowy, byki, bili świniaki, więc dawali nam trochę mięsa, tłuszczu. Ciężko było gdy np. przaszedł transport w nocy a my musiałyśmy go rozładowywać. Żyłiśmy tylko nadzieją. Gdy pojawiła się jakaś plotka, że koniec wojny, to my już szczęśliwe, że jedziemy do domu. Jeden pocieszał drugiego. Wreszcie doczekaliśmy się tej chwili, wojna się skończyła, ale dalej nie było łatwo. Trzeba było mieć jakieś papiery, że jest się Polakiem, jeśli nie to nie dawali repatriacji, bo mówili ty może Ruska jesteś. Na szczęście, Pan Bóg dał, że znalazłam pomiędzy swoimi rzeczami w walizce, kwitek ubezpieczenia za dom, pobudowania, tu była okrągła pieczęć. Ile ja ludzi z tamąd powyciągałam, czy ich znałam, czy nie. Za kłamliwe potwierdzenie pochodzenia groziło 5 lat tury. Trzeba było składać oświadczenie, że dana osoba jest z tego samego miasza, województwa, choćby z powiatu. Dużo ludzi było od nas z Wieleńszczyzny, wiele zostało, może wyjechali później, nie wiem. Pierwsze 2-3-transporty pojechały

z osobami mającymi dokumenty. Przyjechaliśmy do Krosna, dali nam papiery. Jedziemy do domu. Nam mówili "po ciemu wy jedietie, u was to samo co u nas, tam rakawodctwo nasze, nasz rząd i wszystko". O nie! Nikt się nie zgodził tam pozostać, ale na swoje tereny nie pojechalismy, tam byli Ruscy. Przyjechaliśmy do Krosna z Krosna tutaj tj. do Lubuska. Wszystkie fabryki były tużaj pozamykane, tylko jedna stała, ale do niej do pracy szli tylko partyjniacy. My męczyliśmy się remontowaliśmy cegielnie, gdzie później zaczęłam pracować. Dziecko gdy tu przywiozłam miało już 11 lat, tu też jest brat, swoi ludzie, oni wiedzieli jak żyliśmy, anie same kłamstwa. Nie mogliśmy nawet opowiadać, jak było, jak to przeżyliśmy, jak nas męczyli. A gdzie mój mąż - to nie wiem, zginął, czy został... Ktoś teraz jeździł do Rosji i dowiedział (od jednej babki, która w 1939r. mieszkała 1km. od więzienia) jakie tam było morderstwo, co tam się działo w tym więzieniu. Tych którzy mogli, to wypędzali i gnali za miasto w dolinę, gdzie były przygotowane doły, stawiali i strzelali. Słabszych - rostrzeliwali na miejscu. Mój brat był na froncie i nie pojechał tu, lecz został tam, odnaleźliśmy się i spotkaliśmy. On powiedział "Anna, ty nie czekaj swego Piotra, on nie żyje". Jak się skończyła wojna, odeszli Rosjanie, moja mama i teściowa jeździły tam do Barazwejcza i słyszały co działo się w tym więzieniu. Mówili, że jak przechodzili to tak jak by ktoś most nałożył, co było zakopane to było, co nie to nie ~~chodzili~~ chodzili po ziemi tak, że stopy były we krwi. Podobnie mówiła ta Ruska kobieta mojemu znajomemu. Jak tylko ucichło, to ona poszła z mężem do tego więzienia, zobaczyć co się da. Poszli i zobaczyli to rękę, to głowę sterczącą z ziemi, kałużę krwi. Chociaż jej mąż nie chciał z nią dalej iść, gdyż była w ciąży, to jednak poszli do środka i zobaczyli te całe ściany we krwi, pełno

pobitych ludzi. W ścianach poróbione były takie wyłobienia w których byli zamurowani ludzie po brodę i już nie żyli. "alej nie dał jej patrzeć. Ten klasztor jest teraz zburzony, stoi tylko fundament, ludzie trzymają jakieś klatki z kurami. I tak mój znajomy dowiedział się o tym wszystkim od tej kobiety. No i nie wiem czy mój mąż został wyprowadzony, czy też tu zabity. Tu nie daleko Głębokiego znajduje się cmentarz z pomordowanymi naszymi mężczyznami. Słyszałam w telewizji mówili o więzieniach, ale o tym w Barazwejczu bardzo mało. Ten jeszcze jeden cmentarz jest, trzeba go odnaleźć, musi tam pojechać jakaś komisja.

W miejscu naszego pobytu był szpital, gdy mój starszy synek chorował na odrę, odwiozłam go tam. Wtedy byliśmy już wolni, a oni bali się już nas gnębić, my byliśmy traktowani jak swoi. Ja leżałam 2 tygodnie w szpitalu, gdzie jedzenie było bardzo marne, ale ja wiedziałam, że jeśli nie zginęłam z głodu w lesie, ani w kołchozie, to i tu nie zginę. Jakos Pan Bóg zachował. Na umarłych dawano deski na trumnę, młodych zabierali na front, zostały tylko osoby dorastające, starsi. Dostawaliśmy kilka gramów chleba, dużo nie zarabialiśmy 70-80 rubli, by wykupić przydział na kaszę, tylko za to żyliśmy. Od jakiejś babki kupowało się mleko, jak się trafiła mąka robiło się kluski. Ci, którzy zostali wywiezieni w 1939, 1940 i 1941 to byli na wyózce całe sześć lat. My byliśmy zabrani jako jedni z ostatnich przed wojną nas wzięli jak diabły duszę. Z czego oni mieli nas utrzymywać, u nich też był głód, a jaka nędza w kołchozach! Tam człowiek nie myślał o jutrze, tylko o dniu dzisiejszym, jak przeżyć. Myślało się nieo mięsie, kiełbasie, lecz o chlebie. Szło się polną ścieżką i tak się myślało, żeby ktoś podrzucił kawałek chleba. A i nasze żołądki od tego się pokurczyły, skóra przazwyczaja się do wszy. To straszne wspomnienia.

Wróg jest straszny, okropny Niemiec, lecz nie lepszy "nasz to-

warzysz" Rosjanin. Tyle nas wymęczyli, wymordowali.

W tej tajdze to ludzie o niczym nie wiedzieli, widzieli tylko te sosny co do nieba sięgały, porąbane drzewo, smołę. Skąd to wiem? Nasza znajoma była tu w tajdze, i jak nas wyswobodzili to ona przyjechała do Barazwejcza i zaczęła płakać, abysmy zabrali ją do siebie. Puszczysmy do dyrektora aby dał nam 3 dni wolnego. Szłysmy pieszo (100km.), zaszłysmy do jakiejś ziemianki, prosiłysmy o wodę, kartoszku. Doszłysmy do tej kobiety w tajgę. Ja nigdy nie widziałem takich wielkich sosen! Na dole tylko budki ze smołą. Jak w piekle! W lesie stał barak dla kilku rodzin pracujących tu taj, przy smole. Zaczęlysmy się pytać jak ją stąd wyciągnąć. My miałyśmy złe, ale ona to jak u diabła. Komendant nie dopuścił nas do słowa. rzekł: ja jeju nie puszczu. Nie było papierach na wywózkę jej nazwiska, gdyż pojechała sama z dziećmi, bo mąż w więzieniu. Ona szyła, no i uszyła komendantowi spodnie i mundur, żeby tylko ją wypuścił. Na kolanach błagałyśmy o to, całowałyśmy go po rękach, no i ją wypuścił a my zabrałyśmy ją do siebie. Jechałyśmy bykiem 3 dni do ~~kejeji~~ kolei. Przyjechałyśmy do Barazwejcza.